

Kronika tygodniowa.

Zanim przejdę do porządku dziennego, raczej tygodniowego, jak sobie już z góry nakreśliłem, muszę oddać głos jednemu z Prenumeratów, który z okazji reklamacyi nie otrzymanego w swoim czasie numeru *Nowości ilustrowanych*, pisze, co następuje:

„Zarazem proszę poczynić odpowiednie kroki na poczeki w R., ażeby, jeżeli ktoś chce rozciąć i czytać czwartej gazety, to niechże sobie zaprenumeruje”.

Odnosny ustęp listu narzekającego zupełnie słusznie Prenumeratora przytaczam dosłownie, nie nie dodając, ani też nie nie ujmując, skracając jedynie nazwę miejscowości, w tej nadziei, iż podobne nadużycie już się nie powtórzy, nie chciałbym bowiem, by dotyczący urząd pocztowy miał być z tego powodu narażonym na pociągnięcie do odpowiedzialności przez swą władzę przełożoną, jak na to zupełnie słusznie zasługuje. Abo nient, płacąc za gazetę, ma prawo żądać, by ją otrzymywał w swoim czasie i w należyłym stanie. Administracja naszego pisma czyni wszystko, co w jej mocy, by zadowolnić P. T. Prenumeratorów, niestety żaden tydzień nie obejdzie się bez kilku, a nieraz nawet i kilkunastu reklamacyi. Ale, jak to P. T. Czytelnicy z przytoczonego wyżej wyjątku z reklamacyi widzą, wina nie jest po naszej stronie.

„Inni szatani byli ta czynni...” Tak wyraziłby się z pewnością poeta, kronikarz, choć prozaik. powtarza te słowa, by ogół odbiorców *Nowości ilustrowanych* zwrócił swe *odium* tam, gdzie należy. Niechaj to także będzie i przestroga dla tych, którzy postępują niewłaściwie, gdyż, o ile niniejsza kronikarska wzmianka nie pomoże, z bólem serca byłibyśmy zmuszeni oddać sprawę, jeśliby się powtórzyła, Dyrekcji poczt, celem urzędowego załatwienia.

Raz już poruszyłem na łamach kroniki tę nieprzyjemną sprawę, w rezultacie ściągnąłem na swą niewinną głowę gromy w postaci listu jednej z Pań Pocztmistrzyń, która nawet zagroziła mi skargą sądową, jeśli publicznie nie odwołam tego, co napisałem. Bójąc się kryminału, w którym, kto wie czy nie siedziałbym do dnia dzisiejszego, gdybym tego nie uczynił, spełniłem też jej żądanie, zwłaszcza, że tamtejszy urząd pocztowy powodu do skarg nie dawał, zaznaczyłem przecież wyraźnie, że nie o wszystkich pocztach można to powiedzieć. To samo powtarzam i dziś, gdyż nie wszystkie urzędy pocztowe, bez względu na to, czy one są erarynalne, czy nie, funkcjonują tak, jak powinny.

Być może, że znajdzie się ktoś, kto mnie posądzi o niechęć do tak pożytecznej instytucji, jaką jest poczta. Gdyby tak było, musiałbym mu powiedzieć, że się myli. Jestem człowiekiem sprawiedliwym, czego najlepszym dowodem, iż mam sen bardzo spokojny i oddaję każdemu, co mu się słusznie należy, ale też ze względu właśnie na to, muszę od czasu do czasu wytknąć tę lub ową niesprawiedliwość, co naturalnie odnośnemu osobnikowi nie może być zbyt przyjemnem. Zdarza się też nieraz, że, w myśl przysłowia „uderz w stół, a nożyce się odezwią”, obrażonymi i dotkniętymi czują się akurat ci, których się bynajmniej nie miało na myśli.

Różne niedomagania, z jakimi spotykamy się w zakresie urzędowania naszych poczt, mogą być zapisane na karb wojny i wywołanych nią stosunków, ale nie można tu przeciągnąć zażalenia, że ktoś numer *Nowości ilustrowanych* otrzymał porozciurany lub poplamiony.

A teraz przechodzę do porządku dziennego, na którym znajduje się w pierwszej rubryce sprawa wystania rodziny na letnie mieszkanie, o ile *nota bene* będziemy mieć tego roku jakie lato, na tę nazwę zasługujące. Kronikarz sam, ze względu na swe urzędowe czynności, nie pozwalające mu na utracenie bezpośredniego kontaktu z szerokim światem i głęboką polityką, musi pozostać w Krakowie, odetchnie przecież swobodniej, gdy się pozbędzie bodaj na krótki czas swej lepszej połowy i będzie się mógł zabawić w słomianego wdowca.

W tem jednak sek. gdzie wysłać rodzinę i jak ją wysłać. Jedni z letników ciągną do większych środowisk, gdzie zbiera się liczniejsza grono amatorów świeżego powietrza, drudzy, pragnący w samej rzeczy spoczynku i wytchnienia, wybierają sobie tak zwane „zakazane dziury”, gdzie świat teskami zabity, a pocztę dostaje się raz na tydzień.

W obecnych, wojennych czasach warto się nad tem zastanowić, którzy z nich czynią lepiej. Świeżego powietrza i tu i tam nie brakuje, na to się każdy zgodzi, ale przytem trzeba pamiętać, że samo świeże powietrze do życia nie wystarczy. Dziś główną troską każdego „papu”, a z niem coraz gorzej i łatwo bardzo stać się może, że ktoś, przyjechawszy na letni pobyt

do jakiejś Pipidówki lub Psiej Wólki, może być narażony na przymieranie głodem, zwłaszcza jeżeli przed nim gościła tam pani... rekwizycya.

Syszałem głosy, że jeśli się ma gdzieś wyjechać na lato, to tylko do Zakopanego lub Krynicy, lub podobnej miejscowości o europejskiej sławie, gdyż tam, ze względu na zachęcenie letników i kuracjuszy, sam rząd postara się o zaprowiantowanie, gdy natomiast w małej dziurze można się narazić na to, że się nic nie dostanie i trzeba będzie z głodu łapę lizać.

Czy tak jest w samej rzeczy?

Mnie się zdaje, że nie, jak to widać choćby ze sprawozdania z posiedzenia właścicieli pensyonatów w Krynicy, którzy ustanowili cenę za samo utrzymanie jednej osoby trzydzieści, a w pełnym sezonie czterdzieści koron, ale dodali równocześnie, że „za aprowizację nie ręczą”. Wobec tego każdy z letników powinien się na wszelki wypadek, wybierając się tam, zaopatrzyć we wszystko, co uważa za konieczne do utrzymania życia. Oprócz więc zapasów najróżnorodniejszej „spyży” w stanie stałym i płynnym, powinno się zabrać ze sobą bodaj jedną mleczną krowę (naturalnie i paszę dla niej), gdyż ona także samem świeżem powietrzem się nie zadowoloni...), kilkanaście nośnych kur i koguta, by się im samym nie przykrzyło. Taki kogut może ponadto zastąpić budzik i barometr. Ze względu na tę ostatnią funkcję, im będzie starszy tem też będzie odpowiedniejszy, będąc bardziej czułym na wszelkie zmiany aury, które ma swem pianiem obwieścić. To tylko bieda, że taki starszy kogut traci z czasem rachubę czasu i zamiast o świcie pieje już o północy, a trudno go, celem naprawy, posłać do zegarmistrza.

Ale nie o tem miałem pisać, lecz o zapasach, które każdy kuracjusz i letnik, wybierający się do Krynicy, powinien ze sobą zabrać, jeśli nie chce by umarł z głodu. A po taką śmierć nie optaci się chyba jechać tak daleko, skoro ją można znaleźć i w Krakowie.

Dajmy na to, że ktoś już postarał się o to wszystko i wyjechał z tem szczęśliwie. Rozchodzi się teraz o to, by również szczęśliwie i dojechał na miejsce, łatwo bowiem stać się może, że mu to wszystko w drodze skonfiskują i sprzedadzą po maksymalnych cenach, a stać się to może bardzo łatwo, gdyż na przewóz środków spożywczych trzeba mieć specjalne pozwolenie, a otrzymać je trudno, nie można się nawet dowiedzieć, która władza ma je prawo wydawać.

Ostatecznie przyjmijmy, że się udało szczęśliwie dojechać do miejsca przeznaczenia. I znów nowy kłopot, gdzie to wszystko pomieścić, skoro się ma do dyspozycji tylko jeden pokój i to na pierwszym piętrze.

Z kłopotu więc wchodzi się w nowy kłopot. I to gdzie?.. W Krynicy, będącej własnością Wysokiego Rządu, więc chyba mającej, a raczej mogącej mieć pretensję, by ją ogólniej traktowano, niż inne, nie należące do Rządu miejscowości.

W samej rzeczy Urząd żywnościowy, choć wyraźnie powiedziano, że w pierwszym rzędzie ma się postarać o aprowizację zdrojowisk i uzdrowisk, o Krynicy zapomniał, a uwzględnił (być może tylko na papierze...) Zakopane.

Jeśli więc Krynica została tak zupełnie pominięta, cóż dopiero mówić o jakiejś tam Rabce, Rymanowie, Szczawnicy, Iwoniczu i t. d. Tam już każdy oddany jest samemu sobie i skazany na to, by, zamiast nżywać świeżego powietrza i wypoczywać, łamał sobie nad tem głowę, gdzie się obrócić, by znaleźć coś, co można włożyć w buzię. Im zaś w danej miejscowości więcej osób, tem to staranie się będzie trudniejsze, a ceny, w miarę popytu, pójdą w górę, zwłaszcza, jeśli się tam znajdują nasze panie, tak lubiące podkupywać jedna drugą.

Mojem więc zdaniem, zważywszy to wszystko, co się wyżej powiedziało, powinno się wybrać raczej jaką „zakazaną dziurę”, gdzie i powietrze świeższe i swobody więcej i aprowizacja pewniejsza, ale o tyle tylko, o ile tam nie gościła poprzód... pani rekwizycya.

Czyli, innemi mówiąc słowy, i tu źle i tam nie dobrze, wobec czego najlepiej zostać w domu, a świeżego powietrza używać na plantacjach, gdzie można pieścić ncho śpiewem gawionów, lub na Błoniach, przy szmerze fal wonnej Rudawy i rechotaniu żabek, zastępujących tu słowiki.

Mamy zresztą nasz własny ogród miejski, raczej las na Panieńskich Skalach, gdzie można również używać świeżego powietrza na razie bez żadnego ograniczenia, a potem wrócić do miasta i tutaj myśleć o tem, czy w tym tygodniu dostanie się na kartę mączną świeczkę, czy cebulę, czy też może „najprzedsniejszą” mąkę kilogram po ośm koron, o której jedna z obywaterek Łobzowa wyraziła się złośliwie, że „chyba nią maścić karmę dla bezrogów, gdyż człowiek to nie wzięłby tego i w usta...”

To były dotąd kłopoty „dokąd jechać”, teraz zaś kolej na to „jak jechać”.

Kto w ostatnich czasach był w tem miłym położeniu, że musiał odbyć podróż koleją żelazną, wie: chyba, z jakimi to jest połączone przyjemnościami. Wagony zniszczone, okna powybijane, wewnątrz ścian i chaos nie do opisu, wszystkich bowiem ogarnęła jakaś dziwna gorączka podróżowania. Ludzie się formalnie zabijają, by zdobyć miejsce w przedziale.

Dostanie się więc na miejsce koleją jest ze względu dów bezpieczeństwa osobistego wykluczonem, odpadają też aeroplany i automobile z powodu braku benzyny, konie zaś ze względu na zupełny brak sił żywotnych. Pozostaje więc podróż pieszo, ale i ona nie jest wskazaną choćby tylko z racji drożyzny butów i niemożności zabrania ze sobą niezbędnych prowiantów. — Ergo... najmańdrzej siedzieć w domu, chwalić Pana Boga, jak kto umie i dziękować Mu, że się jest w Krakowie, gdzie, choć za drogie pieniądze, ale dostanie się wszystkiego, czego tylko dusza, a raczej żołądek zapagnie. Na wywczasie letnie będzie dość sposobności po ukończeniu wojny. Wprawdzie własnorecznie napisałem w poprzedniej kronice, że może ona potrwać lat trzydzieści, ale w to sam nie wierzę, a raczej staram się wmówić w siebie, że wierzyć nie powinienem.

Szkoda mi tylko jednej rzeczy, to jest owej swobody, jaką mógłbym się być cieszyć, jako słomiany wdowiec, ale równocześnie powiadam sobie, że niema złego, aby na dobre nie wyszło (niestety, czasem wychodzi na jeszcze gorsze!... przyp. zecera), bo dyabeł nie spi, ciekaw gotów palnąć jakie głupstwo, za które musiałby odpowiadać przed tak surowym i bezwzględny sędzią, jak moja Weronisia, która zwłaszcza na punkcie wierności małżeńskiej jest bardzo czułą, a ma pod tym względem prawdziwie średniowieczne zapamiętanie.

Ostatecznie mamy zresztą jeszcze wiosnę, do lata dość daleko, więc projekt można jeszcze bodaj z dzie sięć razy zmienić. Może sobie na to pozwolić kronikarz *Nowości ilustrowanych*, a naśladować będzie w tym kierunku tylko naszych wielkich polityków, zmieniających ciągle swe orientacje, nieczem elegantka rękawiczki.

Natura ciągnie wilka do lasu, kronikarza do polityki, ale, ponieważ, jak już nieraz poprzednio zazna czyć miał sposobność, kombinacje polityczne przeważnie go zawodzą, rzuca ten niewdzięczny temat, zwłaszcza, że zostało jeszcze tyle miejsca, iż można coś wspomnieć i o Zielonych Świętach.

A to temat chyba zupełnie majowy.

W okresie imienin trzech starych kawalerów, Pankracego, Serwacego i Bonifacego, gdy mróz dobierał się do nas i zdawało się, że śnieg wisi w powietrzu, zamówił sobie kronikarz na wszelki wypadek sanki, by móżdż z rodziną wybrać się na Bielany.

Potem zmienił projekt, a sanki na wózek, gdy się ociepliło, ale przecież skończyło się tylko na projekcie, pokazało się bowiem, że w całym Krakowie nie znajdzie się konia, który miałby tyle siły, by uciągnąć parę osób. O wypożyczeniu zaś całej pary ani myśleć, na to może sobie pozwolić chyba milioner, lub dostawca wojenny.

Pozostała więc kronikarska rodzina w Krakowie, duchem tylko przenosząc się na Bielany i przypominając sobie owe radosne chwile, jakie się tam, pod zielonym namiotem drzew, przed wojną spędzało.

Pono i w tym roku podążyło tam sporo wycieczkowiczów i musieli się nawet dobrze bawić, skoro grzmiało w pierwszy dzień świąt, co mimowoli nasunęło człowiekowi na myśl słowa ś. p. Zagłoby: „Panie Boże, Ty widzisz, a nie grzmisz!...”

Jak sam kronikarz Zielone Święta spędził, na to, niestety, brak już miejsca, wobec czego temat ten przechodzi do następnego numeru, gdzie stanowić będzie sam początek. A tu nawet pan metrampaż nie da rady!... Koniec obcinać może, początek jest nie-tykalny.

Jeden jedyny pan prokurator mógłby tu zabrać głos...

